Lwów, 1. Lipca — Nr. 78. — Rok 1854.

NOWINY

Wychodzą we *Wtorek, Czwartek i Sobotę*. We Lwowie prenumerata roczna **6** Złr. — półroczna **3** Złr. — kwartalna **1** Złr. **30** kr. — miesieczna **30** kr. m. k. W kraju z przesyłką pocztową rocznie **8** Złr. — półrocznie **4** Złr.—kwartalnie **2** Złr. m. k.

DZIWO - ŻONA.

Powieść spółczesna

przez

Zygmunta Kaczkowskiego.

I.

(Ciąg dalszy).

Ta jego fixacya wszakże, tocząc zwolna rdzeń jego rozumu, oddała mu jeszcze jedną przysługę. Oto naprowadziła go ona na przedmiot do pracy. Pan Dominik wpadł bowiem niebawem na myśl napisania historyi domu Sieniawskich. Wpadłszy na nią, wziął się on zaraz do pracy i jako człowiek przedewszystkiem porządny, począł najpierwej od tego, że się wziął do zbierania materyałów.

Co tylko tedy znalazł w kronikach i herbarzach, w starych nadaniach, erekcyach i dyplomatach, co mu się zdarzyło zdybać pomiędzy broszurami politycznemi, mowami, pogrzebowemi i ślubnemi, albo panegirykami wszystkich wieków piśmiennych, odnoszącego się do rodu Sieniawskich, wszystko to wypisywał on jak najpilniej, składał w fascykuły, numerował i chował w umyślnie na to wypróżnioną szufladę.

I ta praca zajęła mu prawie rok cały, — i ta praca, gdyby mogła iść tym trybem i dalej wypełniając mu po sześć godzin codziennie, zajęciem takiem, które go nie męczyło a utrzymywało jego umysł w regularnej czynności, była-by go może wyleczyła z jego fixacyi.

Ale na nieszczęście ta praca skończyła się wkrótce. W rok bowiem pan Dominik wynotował sobie wszystko, co mógł znaleść w papierach i księgach. Wypadało tedy przystąpić do wyciagnienia essencyi z zebranego materyału i do pisania zamierzonego textu. Ta zaś czynność wymaga jak wiadomo przedewszystkiem tak zwanego zmysłu krytycznego, owego wzroku czystego i pewnego, który umie odmłynkowywać plewy od ziarna, przeciskać się przez zmyślenia i bajki; jednem cięciem rozcinać węzły gordyjskie, i z przyczyn odgadując skutki, rzucać jasne światło na całe gromady czynów, obrzuconych zmrokiem albo zupełną ciemnicą. A pan Dominik na nieszczęście pod tym względem był ślepym zupełnie. Znał on się doskonale na kompaturkach, na tytułach dzieł, i wiedział mniej więcej co się z nich w którem zawiera, ale o względach, od których zależała wartość ich rzeczywista, nie miał ani wyobrażenia. Urzędowość jakiego aktu choćby tylko pozorna, sława autora, dawność xiążki lub dokumentu, a często nawet druk sam były u niego już powagami, a czy wyczytał coś w stronniczym Wigandzie, czy w poetyzującym Stryjkowskim, czy w bajki lubiącym Paprockim, czy mu zaświadczył o czem Bielski, powtarzający tylko swych poprzedników, czy Bielski już świadek naoczny, wszystko to było u niego prawdą, jednakową wagę mającą. A tymczasem te prawdy, powyciągane to z kronik i panegiryków, to z dyaryuszów i broszur politycznych, zawsze pod wpływem jakiejś stronniczości pisanych, dziwnie się jakoś krzyżowały ze sobą, a to nawet tak dziwnie, że przeszedłszy je pan Dominik z uwagą, ku wielkiemu zadziwieniu swojemu przekonał się jawnie, iż ledwie nie każda data, zaczerpnięta ze środka, znachodziła zaprzeczenie siebie tuż w drugiem źródle.

Znalazłszy się tedy w takim labiryncie, nie wiedział co ma począć ze sobą, i już miał przedsięwziętą robotę porzucać, ale miłość własna się w nim odezwała. Więc zasiadł na nowo do bióra, zbrojąc się wedle wszystkich sił swoich w jak najzimniejszą rozwagę.

Pomimo to wszakże robota wcale mu nie szła. Siadywał on wprawdzie po sześć godzin codziennie przy biórze, wartował swoje papiery, porównywał daty i wyciągi pomiędzy sobą, lecz wyciągnąć z nich ani jednej joty nie umiał. I wpadłszy w to koło obłędne, kręcił się w niem jak owca która dostała kołowacizny, nie robiąc naprzód ni kroku.

I wtenczas to znowu przystąpiła do niego jego zmora piekielna i uderzyła weń wszystkiemi siłami i opanowała go całkowicie. Odtąd też pan Dominik sfixował sobie na piękne. Głowę jego zaległa cała gromada nieboszczyków Sieniawskich, ich fortuny, ich sława i potęga w różnych epokach dziejowych, ich zamki i zbroje i kłótnie domowe, ich pogrzeby i śluby i erekcye kościołów i zamków.

Nie zaniedbywał on wprawdzie śród tego czasu wiedzieć o wszystkich sprawach domowych. Jego wola jeszcze zawsze była wolą całego domu. Oddając się pogadance rozmawiał o różnych rzeczach innych, ale zawsze głównem tłem jego myśli i mowy była historya Sieniawskich a główną jego nadzieją i najulubieńszem marzeniem, myśl o wykryciu się jego urodzenia z tym ważnym warunkiem, iż wapadek ten zmieni jego dotychczasowe położenie do gruntu i przeniesie go w jakiś raj, utracony niewinnie.

Pani Sieniawska była to naonczas kobieta około pięćdziesięciu lat w wieku; była małego wzrostu, otyła, blondynka, twarzy okrągłej, z której wyglądała dusza wesoła

i żywa, ale nad którą panowało usiłowanie wyglądania poważnie a nawet surowo a może i smutnie.

Pani Sieniawska urodziła się ze wszystkiémi zdolnościami panowania nad domem i mężem. Miała ona nawet z początku i chęci po temu. Ale wszystko tak dalece umiał z niej wykorzenić jej małżonek, że teraz może już nawet zniknęły i same zdolności.

Osiągnienie tego celu kosztowało pana Dominika wiele pracy i cierpliwości, bo pani Katarzyna miała wiele uporu, który umiała taić wedle potrzeby i pokrywać krustą pokory i uległości. Nie brakowało jej nawet na dowcipie, którym nieraz swojego archiwistę w dziwne wprowadzała kolizye. Wszakże wszystko to pomału uległo żelaznej woli i wytrwałości męskiej, z którą po wszystkie czasy na próżno walczyły wszelkie kaprysy kobiece.

Tak tedy pani Sieniawska uległa z czasem zupełnemu przeobrażeniu i dzisiaj była to już można powiedzieć wzorowa żona, matka i gospodyni. Religijna w głębi swej duszy, lecz bez exaltacyi, bez skłonności do mistycyzmu i żądzy nawracania niewiernych, nabożna z wewnętrznej potrzeby duszy a bez chętki błyszczenia nabożeństwem swem w świecie, skromna we wszystkiem i niepożądająca niczego, dzieliła ona dnie swoje pomiędzy zatrudnienia domowe, wychowywanie swej córki i czytanie xiążek, które namiętnie lubiła.

Do męża swojego miała ona głębokie przywiązanie, oparte po części na uczuciach, powziętych ku niemu za młodu, po części zaś na przyzwyczajeniu, utrwalonem wspólnością trzydziesto-letniego pożycia. Miała ona i szacunek dla niego, którego nie mogła nie mieć dla swojego zwycięzcy, obsypującego ją dowodami swej dobroci, łagodności i owej jedynie pięknej miłości, która wprawdzie nie błyszczy jak słońce, ani się iskrzy chwilami jak meteory pękające na niebie, ale w jednej zawsze strojna mierze, jako kwiat bezustannie kwitnący, nie przestaje rozsiewać do koła siebie cudownej woni i świetnieć swojemi skromnemi barwami.

Od czasu jak pan Dominik, nabiwszy sobie głowę urojoną swą Sieniawszczyzną, daleko łatwiejszym stał się do zwyciężenia niż przedtem, pani Katarzyna była pierwszą która tego dostrzegła. Wszakże pomimo to nie pomyślała ona o tem ni razu, ażeby z tej sposobności korzystać. Owszem, widząc niedorzeczność marzeń swego męża, bolała ona nad nim, starała się go z tej drogi sprowadzić. Lecz zarazem oddała się z tem większą gorliwością opiece nad domem i myślom o rzeczywistej przyszłości, ażeby przez zaniedbanie się nie wyniknęły jakie szkody lub straty.

Wszakże zajęcie się to nieuspokajało ją wcale; przeciwnie nawet, im więcej pan Dominik bajał o swoich Sieniawskich, z im większą wiarą rosprawiał o przyjściu jakiejś chwili uroczystej i przynoszącej nieopisane szczęście całemu domowi, tem z większą bojaźnią patrzała pani Katarzyna w twarz jego i tem się stawała smutniejszą, co przy niezmiennej powadze i pozornej surowości samego gospodarza poczęło nadawać całemu domowi postać dziwnie smutną i zachmurzoną.

I byłby ten dom stał się rzeczywiście przybytkiem nieustannego smutku i moralnej martwoty, gdyby nie to, że była tam jeszcze jedna dusza, która jak czarodziejka jaka umiała bezustannie do koła siebie rozsiewać wesołość i życie.

Była to pietnastoletnia podówczas córeczka państwa Sieniawskich. Anusia albo Hanusia, jak ją nazywano powszechnie, była wzrostu miernego, figurki dziwnie zgrabnej i jak gdyby toczonej, rączki i nóżki szczególniejszej piękności. Twarzyczka jej była natenczas okrągła, nosek równiutki, chrząstkowaty, dziwnie pięknego rysunku, usta malutkie, ślicznie zarysowane i tak mocno różowe, jak gdyby dopiero o wschodzie słońca rozkwitły. Oczy jej były duże niebieskie, pełne ognia i blasku, i owych bezustannie grających promieni, które świadczą o zupełnej swobodzie i anielskiej niewinności duszy i serca. Włosy zaś jasne, trzymające środek pomiędzy kolorem lnianym i popielatym, tak czarującym cieniem otaczały tę prześliczną twarzyczkę, iż ktokolwiek ją ujrzał, stawał na chwilę jak przykuty na miejscu i jeżeli nie dał się porwać jakiemuś gwałtowniejszemu uczuciu dla tej czarującej istotki, to przynajmniej uczuwał dla niej od razu stałą i głęboką sympatię.

Wszakże jej powierzchowność, lubo tak silnie podbijająca, nie była jeszcze niczem w porównaniu z przymiotami jej duszy. Pomimo bowiem anielskiej dobroci dziecięcego prawie jeszcze serca, pomimo wrodzonej szlachetności i stałego zamiłowania w tem wszystkiem, co piękne i dobre, pomimo skromności i głęboko religijnej pokory, która że tak powiem powinna być głównym brylantem w cnót niewieścich koronie, posiadała ona ową szczególniejszą swobodę ducha, ową polotność i naiwność umysłu, ów dowcip niewinny i serdecznie wesoły, przed którym jak przed słońca jasnego promieniem rozstępywały się wszystkie mgły i pomroki, i który z lekkością zefiru zasiewał wszędzie wesołość i ciepło i życie.

Hania była duszą całego domu. Niezmordowanie czynna wiedziała ona o wszystkiem, co się działo w najodleglejszym kąciku i wszędzie było jej pełno. Więc rano z matką odmawiała pacierze, za chwilkę potem sama podawała ojcu śniadanie. Nim pan Sieniawski wlazł w pantofle i szlafrok, ona zbiegła już cały ogródek, dowiedziała się o powodzeniu wszystkich kwiatów i wszystkich jarzynek, zlustrowała dojrzewające gruszki i jabłka i zawiązujące się winogrona. Kiedy matka wydawała w szpiżarni kucharce, ona uprzątnęła całą sypialnią i przygotowała robótki, zagrała jakąś symfonią na klawicymbale, odśpiewała piosneczkę o Filonie przy angielskiej gitarze. A kiedy ojciec zasiadał do bióra, ona już stała przy stoliku w sypialni, go-

towa wedle woli matki do roboty lub do czytania. Przy każdej robocie najszybsza i najzręczniejsza, nie znała ona w niczem swej własnej woli. Pomimo to wszakże zawsze zadowolona i zawsze wesoła, płacząca z płaczącymi i śmiejąca się z śmiejącymi, lubo najmłodsza w domu i wszystkim uległa, panowała jednak nad wszystkimi i nigdzie nie obeszło się bez niej. Ona była duszą i sercem całego domu.

Z jej też to przyczyny przybytek tej ubogiej rodziny, zapełniony smętno-surowemi myślami ojca, owiany smutkiem i posępnością matki, lubo powinien był dawno już zapaść w smutną bezwładność i obumrzeć moralnie, był przeciwnie pełen życia i ruchu, pełen wesołości, swobody i szczęścia. Taka też sława jego była na Sieniawszczyźnie, a podczas kiedy sąsiedzi pana Dominika jego recytacye z herbarzów i kronik brali tylko za dowód jego głębokiej nauki, smutną powagę pani Katarzyny za skutek postępującego jej wieku i religijności, podczas kiedy nietylko o żadnym niedostatku tam nie wiedziano, ale nawet głośno o kapitałach mówiono, Hanią zaś powszechnie uważano za ósmy cud świata, rozszerzyło i utrwaliło się po całem przedmieściu to zdanie, że niemasz szczęśliwszych ludzi na świecie nad państwa Sieniawskich. Mieszkańce bogatych salonów w mieście, potomkowie dawnych rycerzów, dobijający resztek ojcowskiej spuścizny, żołnierze uganiający za krzyżami i sławą pośmiertną, kupcy powierzający swoje ogromne fortuny bałwanom morza, byliby się sardonicznie uśmiechnęli nad naiwnem wyobrażeniem Sieniawszczanów o szczęściu tego żywota, ale Sieniawszczanie mogą im równym odpowiedzieć uśmiechem i jeszcze raz swe zdanie powtórzyć, że istotnie szczęśliwą była natenczas rodzina Sieniawskich.

II.

Taki stan rzeczy, nieodmieniający się w niczem, dotrwał w rodzinie Sieniawskich aż do dnia 1. września powyżej wymienionego roku. Dnia tego, w poźnej popołudniowej godzinie, siedziała pani Sieniawska ze swoją córeczką w ogrodzie pod starą gruszką, która była do koła obłożona darniowem siedzeniem i rzucając cień gęsty, służyła im za altanę. Słońce już się zniżało ku zachodowi natenczas, i rzucając bladawe światło na więdniejącą ziemię, odsłaniało na wszystkie strony same smutne widoki.— Tylko piaskowa góra, kąpiąc swoje odkryte czoło w jego jasnych promieniach, stała dumnie nad miastem, jak odwieczna całej Rusi-czerwonej królowa, w srebrną ubrana koronę. Obok niej i pod jej płaszcz rozłożysty, ciemnozielony i srebrnemi bramowany brzegami, tuliły się drobniejsze pagórki, niby dziatwa gromadząca się przed nocą pod opiekę swej matki, a wszystko to obróciło się twarzami wprost na południe i patrzało na falujące obrazy swej ziemi, na szare gruzy xiążęcego zamczyska w Haliczu, na bujne roli i nieprzebyte lasy pokuckie, na Dniestr wijący się niebieską wstęgą po polach zielonych i uciekający ze skargami do morza..... Ale tymczasem tutaj w ogródku powiędły już po większej części kwiaty do niedawna żyjące, powynosiły się z grządek jarzyny, poznikały z drzew wcześniejsze owoce i dojrzewały jeszcze tylko czerwone jabłka zimowe, gruszki twarde jak kamień, winogrona wykrzywiające usta jak ocet siedmiu złodziejów i rażące wzrok słoneczniki, do dziś dnia jeszcze ozdoba przedmiejskich ogrodów.

Pomimo to wszakże pani Sieniawska z pewnem upodobaniem patrzyła na cały szereg tych kwiatów niewolniczych, pod sztachetami stojących, i tak się ich widokiem zajęła, że miała już coś powiedzieć o nich swej córce, ale w tem drut jej wypadł z trzymanej w rękach pończochy i to ją naprowadziło na myśl wcale inną.

— Moje dziecko — rzekła ona, przenosząc wzrok swój ze słoneczników na Hanię — już ci chciałam coś mówić o tych tam kwiatach, ale słusznie mnie pan Bóg ukarał za to, bo nie powinno się mówić o bagatelach, kiedy się ma rzeczy ważniejsze na głowie. Wszystkie oczka mi się spuściły z druta.

— Jeżeli mama pozwoli — odpowiedziała Hania z uśmiechem — to ja je na powrót nawlokę; ale cóż to mama ma tak ważnego na głowie?

— Co ważnego na głowie? albož to nie wiesz? Pierwszego już mamy dzisiaj a nasz pokoik jeszcze wciąż próżny. Ja mówiłam, że to na tem się skończy, bo i jakże się ma skończyć inaczej? Tylu nam się już trafiało studentów, ale u ojca ten się źle uczy, tamten miał kiedyś złe mores, ów mizernego urodzenia, inny znowu zdawał mu się być przechrztą a kiedy ostatniemu już nic nie mógł zarzucić, to powiedział, że miał bót wykrzywiony i że musi być lampart. O! moje dziecko! wielki zrzęda robi się z twego ojca a to źle bardzo. Bywałoć to wprawdzie i dawniej, ale nie w takim stopniu, bo przecież jeszcze ani jednego roku nieprzebierał tak między studentami jak t raz. I co to z tego będzie, doprawdy ja nie wiem. Drżę cała na myśl tę, żeby nasz pokoik miał zostać próżny. Strata to byłaby wielka i ja nawet nie wiem, jakbym wyszła z rachunkami w tym roku. Co robić ze szpiżarnią, która wszystkiem jest już napełniona na cztery osób i to na całą zimę? co zrobić z próżnym pokoikiem, którego nie można nie opalać, bo-byśmy pomarzły w naszej sypialni? co zrobić z brakiem tego dochodu dla nas, którego-by nam pewnie ojciec nie zechciał z kieszeni zastąpić?.... A to wszystko bardzo do prawdy podobne, bo przecież dzisiaj już pierwszy, szkoły już się zaczęły i każdy student ma stancyę.

— Hm! to prawda — odezwała się na to naiwnie Hania — to bardzo źle jest, ale przecież może-by można co na to poradzić.

— Cóż pomożemy? — odrzekła matka. — Jedna tylko była-by rada i to ta, żeby ojciec sam poszedł do miasta i sam studenta poszukał. Ale on tego nigdy nie zrobi, bo było już tak jednego roku, że długo jakoś nikt się nie zgłaszał i ja już wtenczas to samo ojcu radziłam, ale on odpowiedział: A to co? jeszcze tego nigdy nie było, żeby się Sieniawski prosił z miejscem u siebie, i teraz nie będzie. I wtenczas jeszcze trafił się student, ale teraz któż to wie, czy się trafi? A chociaż-by się i trafił, to musiał-by to chyba być anioł z nieba, żeby go ojciec nie odprawił tak samo z kwitkiem jak tamtych.

— To prawda mamo — rzekła znów Hania z kolei — bardzo być może, że się już żaden nie trafi, bo się już szkoły zaczęły, ale na wypadek, ażeby, jeżeli się który trafi, tato go nie odprawił, ja-bym coś poradziła.

— Cóż ty moje dziecko poradzisz?

— Ja-bym to poradziła, ażebyśmy się uparły i jakikolwiek się teraz trafi, ażebyśmy go koniecznie przyjęły.

Matka spojrzała z ciekawością na córkę a ta tymczasem mówiła dalej:

— I ja jestem pewna, że to-by nam się z łatwością udało, bo od niejakiego czasu ojciec już nie tak uporczywie obstaje przy swojem, a zajęty pisaniem swojej historyi, może-by rad nawet był temu, gdybyśmy mu choć część trosków domowych odjęły. A tem bardziej też tutaj, gdzie i tak więcej o nas chodzi niżeli o niego.

Pani Sieniawska wciąż z ciekawością patrzała na sądzące tak zdrowo o rzeczach swe dziecko, i jeżeli ucieszył ją tak jawny dowód rozumu, to zapewne musiała się w duszy zgadzać z tem wszystkiem, co dopiero słyszała. Ale jako matka poczuła się do obowiązku zganienia takiej chętki, którą czuć było nieposłuszeństwem, i już się zabierała powiedzieć coś w tym sensie, kiedy w fórtce ich domku pokazały się dwie obce figury, które zwolna wprost ku nim zmierzały.

(D. c. n.)

O wiośnie.

(przez autorkę: **W Imię Boże.**)

Gdy co raz, co raz, umykając z laty,
Wiosna młodości opuszcza swe kwiaty,
Jak słowik w czerwcu, co raz rzadziej śpiewa,
Bóg na pociechę w serce, w duszę wlewa,
Tyle młodego, wiosennego tchnienia;
Że lepiej czujem wiosnę przyrodzenia,
Słysząc gwar ptasząt, szmer liści, szum wody;
I znowu człowiek szczęśliwy i młody!
Dusza tych pieśni, tych szmerów nie syta,
Za każdym pączkiem i sama rozkwita,
Z rybką się pluszcze, z ptaszkiem ulatuje,
Wszystkiem chce zostać i za wszystko czuje
O trawko pierwsza! Wy pierwsze motyle!
W życiu witane, już po razy tyle!
Jakże są dawne wasze świeże dary!
I pierwszy fiołek, to przyjaciel stary.
Ile w dolinach jest rozsianych woni,
Ile po lasach, głosów brzmi i dzwoni,
Wszystko swą dawną piosnkę rozpoczyna,
Coś przepowiada, lub coś przypomina;
Cudne są miejsca, w moim własnym kraju,
Zwiedzam je co rok, i to zawsze w maju.
Dla mnie tam ciągła wiosna i pogody,
Gaj zawsze pachnie i kwitną ogrody.
Ciągle z Wilenki wznoszące się pary,
Mieszkańcom wzgórza odsłaniają czary!
Dla mnie tam zawsze zielone doliny;
I z białych domków leci dymek siny.
Las ciągle szumi, a tak samo rzeka,
Śród wierzb nad wodą pochylonych czeka...
Wiem, nie ma nigdzie wieczystego maju!
Śnieg prusząc, mego nie ominie raju!
Wiem, że z pod lodów pomimo obawy,
Jeszcze piękniejsze wyjdą me Popławy!
Ale cóż chcecie? Żal mi tych pamiątek!
Myślą od zimy chronię ten zakątek.
Jak wdzięki, które nie znały choroby.
Dla mnie ta ziemia, wolna od żałoby!
Wiosno, o wiosno! tęskna i wesoła,
Ty nas porywasz w czarodziejskie koła!
Wonią i wdziękiem, barwą i świeżością,
A wszystko razem jest samą miłością.
Dusza śród tego, więziona choć wolna,
Nawet wyśpiewać co czuje, nie zdolna.
Tylko dzień cały wonią bzów oddychać,
Dziękować Bogu i do Nieba wzdychać!
Wiosna! sen miły, co cieszy i łudzi,
To raj, co wraca na pociechę ludzi,
To Bóg odnawia ludzkiemu plemieniu,
Stworzenie świata w ziemi odrodzeniu,
I wszystko śpiewa, jak dawniej śpiewało,
I wszystko kocha, jak dawniej kochało.
I blask objawia, że się światło stało!
I w nas wstąpiło, bo jaśniej pojmujem,
Silniej wierzymy, i goręcej czujem!
Tworząc człowieka jak koronę dzieła,
Bóg chciał by dusza jego świat objęła!
Biada! kto nie miał swej wiosny w natchnieniu,
Lata w uczuciach, jesieni w wspomnieniu!

PIEŚŃ ŻYCIA.

Fragment

przez **J. I. Kraszewskiego.**

(Ciąg dalszy.)

Pieśń matki pierwsza, jest pieśnią przeczucia.

„Życie moje, aniołeczku — szepcze cicho — śpij dopóki cię nie zbudzi boleść, smutek, ręka Boża, ręka ludzka, śpij, sza! cicho, cicho! cicho! Wszyscy my tu w koło ciebie, ja i ojciec, przyjaciele i aniołek nad głowami. Złote skrzydła mu szeleszczą, rączki wyciąga do ciebie, szmerem kolebki kołysze... śpij kochanie, śpij!.. Sen twój drogi; sen posilny, dalej, dalej nie stanie czasu na sen taki. Sen dziecińskiwa a sen męski, jak odmienne, jakie różne. Na dnie naszych snów trapionych męty wczoraj, wyziew jutra; w two-

ich są same nadzieje. Patrzysz przez ich złote wrota, i nie widzisz, że za niemi stoi wielka przepaść czarna! Spij kochanie, śpij! O! gdyby mi wiedzieć dano tak losy twoje, jak widzę życzenia nasze! Gdyby wzrok można puścić za wrota nadziei po kwiatek pociechy! Na cóż? Bóg jest i za niemi, na dnie tej czarnej przepaści jak na niebiesiech zarówno... Może na dnie tajemnicy leży jakie gorzkie słowo, słowo nędzy, los sieroty! O, ja niechcę tego wiedzieć.

«Śpij kochanie, śpij aniołku, patrzaj jak ci tu spokojnie, w koło tarczą serca stoją, nic do ciebie nie dopuszczą, niczemu dotknąć nie dadzą. — Nie! mój Boże! gdybyż nie! Gdybyż zawsze jak w tej chwili, serca wieńcem w okół stały, nad głową skrzydła anioła, w piersi dusza tak niewinna i taki spokój kolebki!!!

Tak śpiewa i duma matka, a ojciec..? Ojciec czoło sparł na dłoni, myślą goni dumy jakiejś, z których dla swego dziecięcia splata wieniec i kuje korony. On marzy, on czuje. Tamta przeczuła, że za złotemi nadziei, stoi czarna przepaść, ten już ją widział, a jeszcze w nią nie wierzy śniąc przyszłość dla swego syna.

„Śpij dziecię, woła w swej duszy, śpij, a wyrastaj mi w siłę, w siłę potężnie dwoistą, duszy, i ciała, śpij, bo sen także macierzyńską karmi piersią, i olbrzymiej w kolebce ciałem, duszą idź w olbrzyma, bądź silnym tylko bo silnym wszystko posłuszne na świecie, aż do losu, aż do szczęścia. Odwadze wrota otwarte na rozcież, nic ci nikt nie da, czego nie wywojujesz głową, ręką, wolą, siłą. Spoczywaj teraz za przyszłość, bo nie skosztujesz spoczynku, gdy cię raz trąba obudzi, gdy weźmiesz kosztur pielgrzyma, przypaszesz miecz wojownika. Życie jedną walką długą z ludźmi, z losem i ze światem, gdzie potu utrzeć z czoła nigdy nie ma czasu, chwili nie ma ani westchnąć, ni za siebie obejrzeć się mokrem okiem. Na zapracowanych dłoniach sam ja ciebie wykołyszę, i do uszu twoich wleję dwa słóweczka tajemnicze, dwa drobne słowa urocze, w których jest życia zagadka!

„Cierpliwość i odwaga!

«O! pamiętaj te dwa słowa, bo w nich wiele, bo w nich wszystko się zamyka.

„Śpij i rośnij... Widzę, widzę, jaką dla mnie będziesz chlubą, jak ja skarleję przy tobie, ażeby dodać ci wzrostu, jak będę stał, słuchać będę wielkich słów i czynów twoich.

I w pośród pieśni popłynął z dumaniem daleko, a choć to była pieśń myśli, serce jej biciem wtórzyło.

Gdy ucichł, zbliżyła się do kolebki babka staruszka, siwowłosa i zgarbiona, na której ustach oświęconych starością, wykwitał uśmiech niewinny młodzieńczego wesela. W jej sercu tak już było błogo jak błogo żeglarzowi co ujrzał w złotych blaskach wieczora, długo oczekiwaną ziemię. Schyliła się nad kołyską ze łzą i uśmiechem, drżącym głosem nucąc dziecinie:

«Aniołek to boży! aniołek! patrzcie! jak on spokojnie usypia, jak twarz mu się we snach śmieje; rzekłbyś, że widzi proroczo niebo, na które zasłuży. A! długo, długo jeszcze tobie bojować na świecie, nim jak ja dojdziesz do wrót, czekając tylko kolei, by wnijść po sąd i nadgrodę, po przebaczenie i spoczynek. Ale przeleci życie ptakiem, jak mnie, jak każdemu! Będą w nim godziny wiekuiste i lata błyskawiczne, a wszystko potem u proga, z wysoka wyda ci się jedną chwilą, chwilą marną i znikomą. Gdybyś jak dzisiaj pozostał aniołkiem na zawsze, w białej chrztu twego sukience, niezawalanej błotnistą, krwawą życia drogą!!!

„Śpij mój aniołku, nad tobą wieszam ci błogosławieństwo. Ja wkrótce w proch się rozsypię i pójdę gdzie Bóg przeznaczy, a ten dar mój ubogi, dar ten nie widoczny, pozostanie nad twą głową, anioł stróż trzymać go będzie. Chyba odpędzisz anioła, błogosławieństwo uniesie. Ale nie dziecino moja, czysta krew w żyłach twoich płynie, niezmieszana krew szlachecka, mężnych rycerzy i niewiast pobożnych, nie ma w niej żaru zbrodni, namiętności ogniów, i sadzy gniewu i złości. A mnie Bóg życia przedłuży, ja sama za młodu zegnę jeszcze twe kolano i duszę nagnę pod rozkazy Boga. Śpij dziecino, gołąbeczku, śpij na rękach aniołów stróżów, cicho! cicho!

I głos zamarł, tonąc w serdecznej modlitwie na ustach staruszki.

Aż siostrzyczka uśmiechniona, skradła się do kolebki, schyliła nad nią, rączkami objęła, poruszyła, dumna siłą, popatrzała w twarz braciszka, pocałowała w powietrzu i śpiewała:

«Śpij kochany mój braciszku, patrz jak wszyscy cię kochają, tulą, pieszczą, słonią, na paluszkach w około chodzą, muszki nie puszczą do ciebie, komarowi zabrzęczeć nie dadzą. Śpijże a wyrastaj prędzej, prędzej, prędzej. Zobaczysz, miły braciszku, jak mi się dźwigniesz na nóżki, to cię bawić, bawić będę. Jakich kwiateczków narwę tobie, jak cię wozić, jak cię nosić, jak ci ślicznie będę śpiewać. Tymczasem się nauczę wszystkich piosnek.. całego, całego świata.

«A ja cię będę całować!! Rano jeszcze trawy się kąpią oblane rosą, słonko wschodzi, oczkiem mruga, brzęczą pszczółki, ptaszki świegocą, perełki w listkach migocą;— my wsiadamy, do wózeczka, starszy braciszek popycha, jedziem szparko i daleko, siedm mil za siódmą rzekę, za siódmą górę i morze, do pałaców krzyształowych, po ptasie mleko dla ciebie, po śpiewającą wodę, po jabłuszka złote... A tu o nas głowy łamią, mama płacze, ojciec łaje, my wracamy, zwiedziwszy cudne światy, z jabłkami, mlekiem i wodą. Babunię odmładzamy, papie wszystko złoto damy, ptasiem mleczkiem, co szczęście daje, tak się równo podzielemy, że ja będę na ostatku, i mnie go chyba zabraknie.

Aż nadleciał i brat starszy, kołyskę siostrze odbiera: «Tybyś sama kołysała, bawiła się i patrzała. Puszczaj,

i mnie się coś przecież koło braciszka należy. Tyś siostrzyczka, ja brat jego, my mężczyzni! Tyś dzieweczka, tobie siedzieć w okienku za krośnami i poglądać, nam w dwóch latać po świecie! O! jak oba podrośniemy, polecim gdzie nas oczy, kędy serca nas poniosą! tak daleko, że aż ziemi nam nie stanie! A szerokie ziemie nasze ojczyste, bo z najwyższej Karpat góry, ani końca ich dopatrzeć, w rok ich orłem nieprzelecieć, nieprzekochać całe życie, takie wielkie, a tak cudne jakby w bajce... Pojedziemy het! daleko, a powrócim tak wyrośli, tacy wielcy; że nas chyba pozna matka, — ojciec skłoni się z daleka i zapyta się po cichu: —«co to za piękni rycerze?» (D. n.)

Galerya wodzów w teraźniejszej wojnie.

9) Omer Basza.

Naczelny wódz wojsk tureckich.

Zmiana religii należy za naszych czasów, do rzeczy okrzyczanych. Cóż dopiero gdy mowa o renegacie. Słowo to przyprowadza każdemu niemal na myśl brudne chuci złota i serajowych roskoszy; nikt nie pomyśli o innych szlachetniejszych pobudkach. Bo i któżby, powiadają wszyscy, poświęcał czystszą wiarę, obyczaje lepszego ukształcenia bez pewnych niskich widoków. I nikt nie pamięta jak wielu jest i było ludzi którym wykształcenie to naszej cywilizacyi, wydało się tak nieprawdziwem, tak nieszczerem, że jak pani Stanhope, np. znudzeni Europą poszli na Wschód, by w niem szukać tych żywych i jędrnych uczuć, jakiemi obdarza przyroda i ludzkość, będąca jeszcze w niemowlęctwie. I nikt nie pomyśli, że tacy renegaci i zbiegi ucywilizowanych towarzystw, są mimowolnemi misyonarzami reform społecznych i cywilizacyjnych, których duch awanturniczy jest niejako odłamkiem ducha historycznego, który losami świata włada i kieruje po różnych prostemu rozumowi niezrozumiałych drogach. Do jakiegoż rzędu ludzi należy Omer Basza? Czy do przesyconych cywilizacyą, czy do prostych awanturników? Jest w nim może i jedno i drugie, jak to dalej zobaczemy, ale nie zapominajmy tego, że jest to dziś zawsze «oręż reformy,» najdzielniejszy czynnik w tem przerabianiu się cywilizacyjnem i obyczajowem Wschodu.

Trzynaście mil od Fiume leży wioska Plaski o której dotąd nikt prawie nie słyszał. W tej wsi żyło dwóch braci mających małą ziemską posiadłość. Zwali się Lattas. Jeden z nich był żołnierzem, drugi księdzem grecko dyzunickim. Ten drugi musiał być zdolniejszym, wiemy bowiem, że dostał od rządu medal, za zasługi mu dany. Synem żołnierza jest teraźniejszy Omer Basza. Wychowanie jego było jak zwykle synów żołnierskich, najprzód w rodzinnej wiosce przy wojskowej szkółce normalnej, a potem przy wyższej szkole w Thurm koło Karlowic. Z obu cós wyniósł, co mu później do wyniesienia się posłużyć miało. W jednej wyćwiczył się w pięknem pisaniu, w drugiej znaczne porobił w matematyce postępy. Obie własności posłużyły mu do tego, że niedługo pozostał prostym kadetem w Ogulińskim pułku granicznym. Dostał się do dyrektora dróg i mostów, który go używał częścią do robót kancelaryjnych, częścią zaś do prac swego budowniczego zawodu. Miał snać zawsze ducha wojskowego, bo te roboty wnet znudziły żołnierza; starał się o uwolnienie. Czy je uzyskał, czy je sam sobie dał, rozmaicie twierdzą. Największe wszakże prawdopodobieństwo za tem mówi, że je dostał, bo to pewna, że porzuciwszy swoje drogowe i mostowe zajęcia dłuższy czas bawił w Zara, w stolicy austryackiej Dalmacyi, której przecie jako dezerter musiał by unikać. Gdy nie znalazł w Zara tego za czem gonił, szczęścia i zajęcia, udał się do Bośnii. Trudne tam miał początki, i rozmaicie jak zwykle opowiadane. Jest to zwykła kolej wszystkich franków, którzy jeżeli jakiekolwiek posiadają wyższe zdolności, ruszają pełni nadziei na tę na Wschodzie dla wszystkich talentów zda się otwartą drogę. Lecz wnet widzą najsmutniej i nujprozaiczniej niknące, najpiękniejsze swe nadzieje. Z pomiędzy tysiąca którzy gdzieś w nędzy lub mierności poginą, bez wszelkiej wieści ledwie jeden przemknie się naprzód. Przypisać to można okolicznościom szczęśliwym, lecz niemożna zaprzeczyć temu, że tylko silne umysły, wytrwała wolą obdarzeni, która w nich jest namaszczeniem wyższego przeznaczenia, potrafią czy zdybać się czy stworzyć sobie ten szczęśliwy zbieg okoliczności. Dla słabych i miękkich dusz, jak widzimy z dziejów, niema nigdy tego zbiegu.

Lattas tedy znalazł pierwsze swoje utrzymanie nader skromne u kupca jakiegoś w Banialuce. Było to miejsce nader podrzędne i niekoniecznie korzystne. By się i na niem utrzymać i zostać nauczycielem domowym, musiał przejść na religię muzułmańską. Nazywał się już wówczas Omerem, nauczył się dobrze języka, i miał tyle zgrabności w mnogiem z turkami obejściu się, że ci zapomnieli wkrótce tak niedawnego giaura. To wszakże wszystko nie poprawiło jego położenia. Znudzony i zmęczony niem, pragnący czegoś wyższego, co może tkwiło w nim przeczuciem przyszłości, porzucił to miejsce by się udać do Widynia, W nocy, sam jeden, z 30 piastrami w kieszeni, wyszedł w drogę, na której końcu czekała go, sława, godności, i dostatki. Lecz ta droga była długa i nie łatwa. Przed lichem miasteszkiem Gälhissan upadł zmęczony; nogi miał pokaleczone, a na nogach obuwie podarte. Była to ciężka chwila; zapłakał gorzko, i... szukał czem by mógł naprawić podróżne swe obuwie. Znalazł przecie kawał szpagatu i złatawszy trzewiki, ruszył dalej, krzepiąc ducha. Bez grosza prawie dostał się do Widynia. W kawiarni usłyszał, że Ibrahim Pasza chce zdjąć plan Widynia, lecz niemiał komu go poruczyć. Omer udał się do Baszy, zdjął plan, który był pierwszą podwaliną jego przyszłości. Plan

się podobał; Ibrahim Pasza ubrał go i zatrzymał przy sobie. Za jego to zapewne wdaniem się dostał się Omer do Stambułu. (D. c. n.)

Rozmaitość.

Z Warszawy. Powiadają, że ludziom ciągle nowości potrzeba; może tak jest gdzieindziej, ale my podobni do słońca, dość nam odbywać regularnie nasze obroty, bez zmiany. O mało wszakże nie przyszło do jakiegoś kataklizmu wyścigowego. Przed kilku miesiącami ogłaszano, że w hipodromie miano urządzić nie już wyścigi ale cyrk, nie olimpijski, ale rodzaj cyrku rzymskiego; miano sprowadzić niedźwiedzi, łosiów, dzika i coś tam jeszcze z miejscowych leśnych potentatów, szczuć psami ras rozmaitych i rozmaitych panów, by wykazać wyższość chowu harriersów, pijawek, duńskich brytanów i innych psiego rodu znakomitości. Bardzoby było zabawnem to igrzysko; *quirites* trybunowi mieliby w istocie uciechę; potem dżokeje, Jamesy, Patryki, Johny, mogliby w guście gladiatorów występować. Dla wszystkich byłoby też pociechą, że szlachetna zabawa polowania nie idzie w zapomnienie, że jeżeli z jednej strony wytępiamy w zawody bory, trzebiemy lasy, spłacając niemi świeżo nabyte włości, że jeżeli knieje z postępem czasu zamieniły się w gaiki, to przynajmniej staramy się o poprawę rasy gończych. Z latami możemy nie mieć co ale będziemy mieli czem; cel zniknie ale środek wypotężnieje.

Gdy to się nie powiodło, więc miano gonić do mety z przeszkodami; miały być cztery płotki lekkie, dwułokciowe mniej więcej, poustawiane na drodze; te jeźdźcy przesadzać mieli. Kilku panów się zapisało, pieniądze złożyło i... nie goniło, ale się wypisało. Jeden pozostał i, wytrwał, odbył kurs tryumfalny, skok zręczny i zwyciężył.

La bataille a fini faute des combattants.

Jednak pomiędzy naszymi młodymi panami nie brak jeźdźców dobrych i śmiałych; nie wyrodziliśmy się jeszcze tak bardzo, by nam do konia brakło odwagi lub do przesadzenia jakiegoś nędznego płotka siły. Zaraz po skończonym owym niedoszłym wyścigu, bo wyścig jest kiedy się ścigają a do ścigania dwóch przynajmniej potrzeba, przesadzano za trybuną ów płotek. Przesadził go np. pan B. na koniu obcym pono, tylko że z jego stada, pięć razy, bez rozpędu, prawie z miejsca, równo, gładko, nie drgnąwszy na siodle, bez przygotowań, śmiejąc się i żartując. I więcej i wiele więcej takich się znajdzie. Naszej szlachcie ochoty, ni odwagi do konia nikt nie odmówi; robiliby tak dzielne skoki jak najwprawniejsi członkowie dżokey-klubu, tylko że w nich jakaś inna jak w owym klubie krew płynie; nie lubią oni pokazu, publiki, mają wstręt do oklasków, któremi dżokey i sztuczny jeździec i ekwilibrysta uczczonymi zostają. U siebie, za chartami, w swojem towarzystwie, sadzą przez rowy, nie zważają na płoty, mało dbają o rękę, nogę, nawet kark, w ujeżdżeniu dzikiego konia największą widzą przyjemność, chlubę, ale wstręt budzi w nich produkowanie się. Tak mimo woli hołdujem starej tradycyi. Kiedy jaki pan starosta Bachtyński przyjmował u siebie panów braci albo, co lepiej, jakich krewnych swoich, to się tam wyprawiały i gonitwy, może nie takie harce regularne, ale pewno tak dzielne i śmiałe jak dzisiejsze *steeple-chese* i *hurdle-race*, ale odbywały się tak między swemi; jeżeli czemś pochwalić się lubiano to koniem a pochełpić to jazdą. I dziś znajdzie się nie jeden dom taki. W Dzieduszycach, jak opowiadają (trzecie tam stado najsławniejsze obok stada Sanguszków i Branickich,) sto koni na stajni; w razie potrzeby to do sali głównej wielkiej, chociaż nieco pustej, araby się wprowadzają, oglądają, objeżdżają nawet, a głowy wówczas męczą się nad tem jakby wynaleść najtrudniejsze w hippice zadania, i wykonać je ze sławą a aplauzem swoich. Trudno wprawdzie o takiego pana jak w Dzieduszycach i o takie stado; potrzeba do tego jeszcze więcej możności jak zamiłowania; ale na zamiłowaniu do koni nie braknie podobno nikomu u nas, kto tylko patrzy rok cały jak mu pług skiby orze a sierp snopy składa. (G. W.)

* Wolf w Petersburgu, mając wydawać zbiór illustrowany wybranych dzieł z kilku naszych tegoczesnych poetów, rysunek powierzył naszym malarzom, jak Fredro, Starzyński, Kossak, Kostrzewski, wybrawszy nawet bardzo zręcznie, który poemat któremu z nich więcej do smaku przypada. Pierwsi wzięli więcej fantastyczne utwory, Kossak Bielowskiego wojownicze dzieje i Wiesława tęskną sielankę, Kostrzewski do Lirnika i do Wiesława w części rękę przyłożył. Któryż niemiec czy francuz z najgłębszym rozumem i najświetniejszym dowcipem mógłby tak jak oni ołówkiem wniknąć w myśl poety. Ale drzeworyty prawie wszystkie z tych rysunków w Paryżu robiono, część tylko pewną w Petersburgu; niepodobna było szukać u nas ucieczki; rylec naszego drzeworytnika jeszcze bardzo do dłuta podobny, kuje on, nie rytuje dotąd. Nie widzieliśmy jeszcze tego ciekawego i pięknego wydania, nie wiemy co wykonaniu tego projektu na zawadzie stanęło.

(Jak dowiadujemy się, pan Wolf z powodu wypadków wojennych zawiesił przedsiębiorstwo wydawnictwa na czas nieoznaczony, niechcąc się na możliwe narażać straty.) R.

* **Wiedeń** 26. czerwca. Codzień ulewne deszcze nie pozwalają mieszkańcom stolicy używać spacerów, ani też wycieczek w okolice miasta; ulice prawie codzień są obficie wodą oblane; z tej przyczyny podsłuchałem razu jednego, stojąc jak zwykle w deszcz ulewny pod bramą, pewną damę, która za przyczyną tej niepogody użalała się na mocarstwa morskie, których okręta krążąc bezczynnie po morzach roznoszą tylko wilgoć po Europie, a na zapytanie swe pewnego w okulary ozdobionego dyplomaty co on mniema o Turkach, Rossjanach i Sprzymierzonych państwach, taką odebrała odpowiedź: że Rosja jestto Samson z Historyi biblijnej, którego głowę trzymać musi Turcya, ażeby francuski golibroda, prawdziwą angielską brzytwą ogolił brodę i głowę, i tym sposobem pozbawił go siły.

Ogólną ciekawość zwraca tu obecnie p. Teresa Lattas, ciotka teraźniejszego naczelnika armii tureckiej Omera Paszy, która będąc pensjonowana wdowa po kapitanie wójsk austryjackich, wspierała młodego Omera miesięczną pensyą 5 złr. gdy tenże był kadetem. Od czasu zaś jak jej siostrzeniec stał się renegatem, nie chciała ciotka wiedzieć o nim. Teraźniejsza sława jego poruszyła jej serce, i rada jest gdy się kto o niego wypytuje.

Wydawcy i redaktorowie czasopism tutejszych są często względem siebie w krytycznej pozycyi. Redaktor jako odpowiedzialna osoba, umieszcza tylko to, co uważa za właściwe. Nakładca zaś chciwy zysku domaga się często rzeczy niepodobnych. I tak razu jednego gdy wydawca przejrzał podany przez redaktora numer dziennika, został tak dalece uniesiony gniewem iż rzekł: Ha do stu piorunów, tu już mi brakuje cierpliwości, czyż to być może!... Przedwczoraj wysadziliśmy w powietrze 3,000 Rossjan, wczoraj padło na placu 6000 Turków a dzisiaj w niedzielę, gdzie najwięcej publiczność czyta ani jednego trupa!... Każ mi pan natychmiast, raz jeszcze bombardować Odessę, a jeszcze lepiej Sewastopol, a Austryjakom wkroczyć do Czarnogóry, lub Serbii!...

Znaczenie poprzednie szarady: **Odesa.**

Logogryf.

Summa z pięciu i dwóch znaków,
Moje całe mi ukształca:
Miejsce królów i żebraków,
Dziecka równie jak i starca;
Wszyscy w równej idąc cnocie,
Wielki niosą hołd istocie.

Jeślis łaskaw przekryśl teraz,
Trzeci od początku znak.
Wiem że w kuchni bywasz nieraz,
Tam nie znajdziesz na mnie brak.

Znowu między literami,
Trzy ostatnie proszę zmaż:
Poznasz wnet co z zwierzętami,
W równej mierze, równie masz.

Chciej tym samym głowę odciąć,
Wnet charakter poznasz ryb,
Reszta kształci, (koniec odjąć)
Pierwszy u powozu tryb.

Teraz panie bez zawady,
Rozwiąż w moment te szarady,
Text ich nadto jest otwarty,
A kto temu nieda rady,
Byé mem całem byłby warty,
Bez mej pierwszej i bez czwartej.

Przyjechali od dnia 28 do 29. czerwca do Lwowa:

PP. Trzciński Józef, ze Żyrawy. Malczewski Stanisław, z Cześnik. Golejowski Józef, hr. z Balic. Nahojowski Antoni, z Przemyśla. Winogrodzki Albin, z Hłuboczka. Fredro Henryk, hr. z Dubanowic. Kęszycki Józef, z Wiednia.

PP. Thullie Jan, z Mokrzan. Borkowski Seweryn, hr. ze Szuparki. Szeptycki Marcin, z Pochorylec. Cywiński Franciszek, z Delejowa. Strzelecki Eugieniusz, z Wyrowa. Krasicki Aleksander, hr. z Dubiecka. Zawadzki Karol, z Kruszelnicy. Zawadzki Karol, ze Stryja.

Wyjechali od dnia 28 do 29. czerwca ze Lwowa:

PP. Pietruski Konstanty, do Rudy. Chojecki Jan, do Stryja. Chojecki Zygmunt, do Kołodziejówki. Ostrowski Feliks, do Tarnopola. Golejowski Tadeusz, hr. do Sapakowa.

PP. Komorowscy Piotr, Adam, i Franciszek, hr. do Bilinki. Obertyński Henryk, do Bilinki. Laskowski Maksymilian, do Lipnik.

Dzisiejszy. **Kurs lwowski.**		Gotówką		towarem.	
Dukat holenderski	zlr.	6 kr.	8 zlr.	6 kr.	11.
Dukat cesarski	"	6 "	13 "	6 "	16.
Półimperyał zł. rosyjski	"	10 "	42 "	10 "	46.
Rubel srebrny rosyjski	"	2 "	2 "	2 "	4
Talar pruski	"	1 "	56 "	2 "	58.
Polski kurant i pięciozłotówka	"	1 "	30 "	1 "	31.
Galicyjskie listy zastawne za 100 złr. . .	"	92 "	20 "	92 "	30.

Kurs telegrafowany z Wiednia wczoraj o 2 g. popołud.

Amszterdam.	106.	Marsylia	—.
Augsburg za 100 złr.	$127\frac{3}{4}$.	Medyolan za 300 lirów	$125\frac{1}{2}$.
Bukareszt	—.	Paryż za 300 franków	$149\frac{1}{4}$.
Frankfurt za 120 złr. podług $24\frac{1}{2}$ stopy . . .	$126\frac{3}{4}$.	Agio duk. ces.	—
Genua.	—.	Srebra agio	29
Hamburg za 100 tal. banco.	$94\frac{1}{8}$.	Pożyczka 5% $85\frac{5}{8}$	$4\frac{1}{2}$ $75\frac{5}{8}$.
Konstantynopol	$33\frac{3}{4}$.	Pożyczka lit. B.	—
Liwurno.	—.	Akcye banku	1275
Londyn za 1 funt szterl.	12. 23.	Kolej północna	—.
		Obl. ind. . . . . 5%.	—

Lwów 30. czerwca.— Na dzisiejszym targu płacono korzec Pszenicy ozimej po 30 złr. — kr. do 32 złr. — kr. — Żyta po 26 złr. — kr. do 28 złr. — kr. Jęczmienia po 18 złr. — kr. do 19 złr. — kr. Owsa po 15 złr. — kr. do 18 złr. — kr. Grochu po — złr. — kr. do — złr. — kr. Hreczki po 20 złr. — kr. do 22 złr. — kr. — Ziemniaków po — złr. — kr. do — złr. — Sąg drzewa bukowego 25 złr. — kr. do — złr. Sosnowego po 18 złr. 30 kr. do — złr. — kr. w. w. Centnar siana 1 złr. 48 kr. do złr. 2 kr. 24. Centnar słomy 1 złr. 18 kr. do 1 złr. 30. kr. w. w. Garniec 30 stopniowej okowity — Złr. — kr. m. k.

Wydawca i odpowiedzialny za redakcyą: **H. W. Kallenbach.**

Z drukarni **E. Winiarza.**